Nr. 53. Warszawa, dnia 19 (31) Grudnia 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

KONKURS POETYCKI.

Jeden z przyjaciół *Prawdy*, który, życzy sobie pozostać bezimiennym, złożył nam 500 rubli jako nagrodę konkursu na utwór poetyczny. Ogłaszamy więc ten konkurs na warunkach następujących:

1) Co do formy: utwór ma być napisany wierszem w jakiejkolwiek postaci, stanowić całość artystyczną, nie mniejszą wszakże, niż 500 wierszy. Może on więc być poematem lirycznym, opisowym, fantastycznym itd.

2) Co do treści: Wybór jej nie podlega ograniczeniu, z tem tylko zastrzeżeniem, ze wątek powinien być swojski.

3) Utwory przedtem drukowane są wyłączone z konkursu

4) Ostateczny termin nadsyłania rękopisów 1 czerwca 1899 r. do redakcyi *Prawdy*.

5) Do rękopisu powinna być dołączona zamknięta koperta z jego tytułem i godłem, zawierająca nazwisko autora.

6) Utwór nagrodzony pozostaje własnością autora.

Sąd konkursowy stanowią: Antoni Gustaw Bem, Stanisław Krzemiński, Ignacy Matuszewski, Leopold Meyet, Wacław Sieroszewski, Aleksander Świętochowski, Stefan Żeromski.

POLITYKA.

Czego chcą Węgrzy?

Chcą się pojedynkować. Pierwszy dzionek po świętach wniósł do historyi rozumnych dzieci Arpada już szość pojedynków pomiędzy ludźmi stojącymi na czele narodu — a dalsze rozprawy oczyszczające honor krwią zapowiadano na dni następne. Zupełny szał obrażonego honoru ogarnął to biedne, nędzne, konwulsyami marnych pobudek ustawicznie wstrząsane człowieczeństwo węgierskie, w najwyższym zakresie życia zbiorowego występujące. Zacietrzewieni, nie widzą, że, broniąc z taką żywiołową siłą honoru niższego gatunku, narażają tylko na szwank przed historyą swój honor wyższy, istotny, ten, z którym żyć mają w dziejach: godność mężów politycznych, mędrców narodowych, jednostek najlepszych, najrozumniejszych i najtęższych z gromady — jakimi w teoryi powinni być wybrańcy narodu, przysyłani do sejmów. Jak młodzieniaszki z próżniactwa zrywające się na metę o byle piękność, o kartę, o tryumf lub znój sportowy, tak ci radcy narodowi, ludzie z powołania swego, z myśli i czynów obowiązkowych nad wszelkich innych poważni, nie umieją myśleć bez krewkości, mówić bez obelgi, słuchać bez obrazy.

W obecnym wypadku całą tę szczytną epopeję obrażonego honoru wywołał jeden z przewódców stronnictwa niezawisłości, Horanszky. Przed samemi świętami zarzucił on Banffy'emu w sejmie, że daje słowo, a nie dotrzymuje: jest więc człowiekiem niezasługującym na wiarę, a podobno i kuglarzem. O wypuszczenie takiego zarzutu ze złotoustej procy głównie Horanszky'emu chodziło. Zapalczywy ten przeciwnik dzisiejszego rządu owinął go w opowiadanie jakichś obietnic pomiędzy obchodem tysiąclecia a obecnym okresem prawodawczym uczynionych stronnictwu niezawisłości co do dalszego rozwoju organizacyi państwowej w kierunku odśrodkowym od Wiednia i umów z r. 1867, Peszt z Wiedniem zespalających. Banffy zaprzeczył prawdziwości obietnic, które gdyby nawet były, mogłyby się opierać tylko na zasadzie wzajemności *do ut des*, odwiecznie rządzącej w dziejach, zwłaszcza w stosunkach między stronnictwami. Odpowiedź pierwszego ministra, niepowściągliwa, napiętnowała Horanszky'ego wręcz jako kłamcę. I krew i zwyczaj nakazały wyzwać. Świadkowie spisali jakiś protokół, który ani jednej, ani drugiej stronie, ani nawet spisującym go świadkom się nie podobał. Zanim przyjdzie do pojedynku między samemi stronami, wzięli się już świadkowie za łby: ten ma przestrzeloną rękę, tamten kontuzyę na karku, temu ucięto palec, tamtego płatnięto po uszach: wszystkim należałoby łby zgolić i powsadzać ich do czubków — nie przedstawiciele narodu, ale chorzy obłąkańcy.

Kto wie przecież, czy wogóle dla umysłu stojącego po za wirem to, co się w wirze kręci, nie jest jedną gromadą, jedną kupą takich przez prąd bezwiedności porywanych i wciąż w kółko miotanych istnień, którym zdaje się tylko, że są istotami za ruchy swe odpowiedzialnemi? Kto wie, czy momsenowskie słowo „Namiętność buduje dzieje“ — w zastosowaniu do czasów najnowszych nie jest równie prawdziwem, jak było w zastosowaniu do starożytnych? Może człowiek nie robiłby nic, gdyby nie robił namiętnie; może nie wzniósłby nic naokoło siebie, gdyby nie wnosił we wszystko samego siebie, swej najlichszej nawet podmiotowości? Czystego

wytwórstwa czynów publicznych, powszechnych, przedmiotowo dobrych, niema na tym najlepszym ze światów: jest tylko produkcya ogólnej natury ludzkiej, która przy nieskończonej masie popędów społecznie złych zdobywa się na niezmiernie tylko szczupłą liczbę dobrych. Wyjątkowe tylko jednostki, indywidualności wybitnie w organiczność, w zdolność odrywania się od zmysłowo-czuciowego podkładu osobistości ludzkiej wyposażone, odpowiadają na wezwanie, które prawo czy obyczaj stawiają gromadzie całej: stąd te wszystkie zdrożności, równie nieuchronne i konieczne, jak sama gromada wraz ze wszystkiemi uprawnieniami swemi i całem powołaniem do życia porządkującego zbiorowość.

Ostatnie pięciolecie w całej Europie przyniosło tyle doświadczeń, tyle przekonywających argumentów, że dla samego dobra tego systematu porządków publicznych, który jest — umysły uprawiające i praktykę i teoryę polityczną powinny zabrać się jak najrychlej do obmyślenia takich form sprawności zbiorowej, takich instytutów prawa państwowego, któreby powściągnęły nadużycia, wybryki, szaleństwa i krzywdy, zadawane nietylko parlamentaryzmowi, ale wolności, funkcyom władz politycznych, działalności i samemu nawet życiu państwa. Jeżeli naprawa nie będzie dość wczesną i roztropną, jeżeli takie sceny karczemne, takie marnowanie największego bogactwa ludzkiego — czasu, takie tamowanie obrad, takie uniemożliwianie umów i praw organicznych do życia państwowego niezbędnie potrzebnych potrwa jeszcze lat kilka, to wolność działania, zapewniona zbiorowościom, w Europie całej zamieni się w czczą wolność gadania i hałasowania w sejmach, przyznawaną jednostkom, a działalność rzeczywista, wpływowa i rozstrzygająca o porządkach publicznych, o istotnych prawach i istotnych dla nich warunkach — dostanie się w moc jakichś potęg zbawczych, ocalających państwo i rząd od niemocy i rozkładu. Jedno złe, a reakcya stoi zawsze na progu drugiego, którem jest wolność. Chcąc niebezpieczeństwo odwrócić, potrzeba przedstawiennictwo narodowe inaczej zorganizować. Tak, jak jest, dłużej być nie może.

Tydzień polityczny. Ks. Jerzy Grecki, zamianowany przez mocarstwa działające „komisarzem tureckim na Krecie," d. 21 b. m. zawitał do stolicy wyspy. Kanei. Ludność przyjęła go okrzykami, zbiegowiskami i iluminacyą. Książę, jak nakazywał zwyczaj, miał przemowę, a w niej, również według zwyczaju, zapewnił o miłości dobra pospólnego i jednej mierze dla wszystkich, Greków i nie-Greków, Chrześcian i nie-Chrześcian. Dyplomacya admiralska złożyła władzę w jego ręce i po dwu latach znojów i popisów zeszła ze sceny. Mocarstwa poręczyły Turcyi posiadanie wyspy; ale nie było chyba większego nad ten platonizmu: Kreta jest już dla Turcyi straconą.

Nareszcie sąd kasacyjny doczekać się miał d. 28 lub 29 b. m. okazania mu owego tajnego *dossier*, na podstawie którego skazano Dreyfusa, a który według Freycineta (mowa w Izbie d. 19 b. m.) nie zawiera nic straszliwego, wymagającego tajemnicy państwowej z krzywdą nawet sprawiedliwości, która przestaje być sprawiedliwą, gdy się staje tajemną. Komu logika nie wystarczała odrazu do uważania korespondencyi Dreyfusa z Cesarzem Wilhelmem II za bajkę wylęgłą w dowcipnej głowie sztabu generalnego, ten otrzymuje coraz nowe wskazówki fałszerstwa, jakiego dopuścił się bądź Henry, bądź Esterhazy, bądź kto inny jeszcze, dla osłonienia sprawiedliwości wojskowej od hańby, któraby spaść na nią musiała, nawet w przypuszczeniu rzeczywistej winy Dreyfusa. Jedną z takich wskazówek daje w *Rappelu* Paskal Grousset.

Pomimo widocznie robionej, a co najmniej, przesadzanej, ważności owego *dossier* rząd wraz z radą wojenną, która może za odrębną od rządu łużurkowców się uważa, otoczył okazanie tej tajemniczej skarbnicy prawdy ostrożnościami dla najwyższej magistratury sądowej, dla samego sądownictwa i sprawiedliwości ubliżającemi. Oficer przysłany z aktami ma czekać na ich odbiór, pilnować progów sali sądowej, by ich nikt nieuprawniony nie przestąpił; nieledwie odmierzono sądowi kasacyjnemu czas korzystania z szacownego zbioru.

Dnia 28 b. m. zagajono sejmy krajowe Przedlitawii orędzie do sejmu lwowskiego uznaje potrzebę [illegible]

ŻYCIE SPOŁECZNE.

„SOCIETÉ ANONYME."

W działach doniesień ekonomicznych czytamy, iż powstała spółka pod nazwą *Societé anonyme des verreries de Radom*, zawiązane w Brukseli z kapitałem 1,600,000 franków w akcyach 250-frankowych. Ma ona prowadzić należącą dotąd do p. Reinsteina hutę szklaną w Radomiu, tudzież zakładać huty w innych miejscowościach. Jakiś codzienny, powierzchowny protokólista spraw życia bieżącego mógłby tę wiadomość zaopatrzyć w taką uwagę: „Pocieszający to objaw! W kraju naszym zaczyna się przemysł szeroko rozwijać tam, gdzie dotychczas były tylko jego zaczątki wątłe"; a w końcu możeby dorzucił: „szkoda tylko, że to kapitały cudzoziemskie; no, ale i nasi skorzystają na tem!.."

Wejrzyjmy jednak w rdzeń tego przedsiębiorstwa, płynącego do nas tak szeroką falą i tworzącego całkiem przypadkowo swoje kolonie w różnych miejscowościach kraju. Przedewszystkiem co do faktu powyższego, uderza nas zagadka: co za siłę przyciągającą ma skromna huta w Radomiu, która zdołała stworzyć stowarzyszenie w Brukseli, rozporządzające kapitałem 1,600,000 fr.? Jakież to w okolicach Radomia muszą być olbrzymie bogactwa i warunki przyjazne do rozwoju produkcyi szkła! Wszak cudzoziemcy są zanadto praktyczni, przezorni i przenikliwi, ażeby mogli działać na oślep; musieli tedy dobrze zbadać warunki tej gałęzi przemysłu, musieli sobie zapewnić już rynki zbytu?

Idąc po nitce, dochodzimy do kłębka następującego: Przedstawiciele *Societé anonyme* z Brukseli kupili hutę szklaną w Radomiu, cenioną 70,000 rubli — za 200,000 rb.! Co to ma znaczyć? — Jest to

---

HISTORYA O WISIENCE.

Opowiadanie gwiazdkowe.

Na dworze padał gęsty śnieg. Zasnuwał jak płótnem ziemię, obwieszał drzewa, zaglądał natarczywie do okien. Śnieżynki oklejały szyby z początku drobnemi cętkami, potem zlewały się w płatki narcyzów. Ale naloty rosły i rosły a niezadługo wszystkie okna były opięte jakby futrami sobolemi najczystszej bieli.

Wraz ze śnieżycą zstępowała cichutko noc. Przyćmiła najpierw światłość w przestrzeni, następnie owinęła w swój rąbek najdalsze koła widnokręgu. Zaczem ściskała go jak obręczą, a sprowadziwszy do większych rozmiarów, sypnęła hojną dłonią cienie. Ściemniło się zupełnie.

W powietrzu legła cisza.

Naraz oponę nocy jęły przebijać światełka. Mnożyły się widocznie, chociaż z powodu zadymki trudno było dojrzeć wszystkie. To mieszkańcy wsi oświetlali swe chaty.

Najczęściej padały blaski z okien niedużego dworku, położonego na końcu sioła. Jego podwórze rozbrzmiewało chwilami głosem, czasem szeroka smuga jasności kładła się na nie. Znak, że otwierano drzwi domu.

A uchyliła ich zniecierpliwiona i niespokojna matka. Oczekiwała syna, który miał przyjechać z miasta, ze szkół, aby zasiąść razem z nią i z rodzeństwem do wigilijnej wieczerzy. Przygotowawszy już wszystko do przyjęcia, słuchała u okna, czy nie rozlega się odgłos dzwonka sanek. Nic nie dolatywało; wówczas wychodziła na podwórze, czy tu jej ucho nie chwyci dźwięków. I wracała zasmucona do izby, odpowiadając czasem z podwórza sędziwemu swemu ojcu, który pytał się, czy wnuk nie nadjeżdża:

— Nie, tatusiu, jeszcze nic nie słyszę.

Ojciec ich umarł niedawno. Po jego śmierci zbolała rodzina łaknęła tem goręcej obecności Stasia, który skończył gimnazyum i rozwijał się na dziarskiego młodziana.

Jego braciszek i siostra, znacznie odeń młodsi, tak samo wyczekiwali go z upragnieniem. Zaprzątała ich myśli także choinka. Ponieważ zaś czas przeciągał się, chłopczyk podszedłszy do dziadka, zagadnął go z cicha:

— Może dziaduś powie nam bajkę.

— Cóż wam opowiedzieć kochanie?

— Cokolwiek, bo tak się nam nudzi.

Staruszka opanowały dzisiaj tęskne myśli. To też usadowiwszy dzieci przy sobie, rozpoczął jedną z bajek, streszczających jego dumania:

W małej wioseczce, jak nasza, przy chatce wieśniaczej, rosła sobie młoda wisienka. Liczyła już kilka lat i z każdym rokiem podnosiła się wyżej i wypuszczała nowe gałęzie.

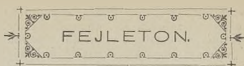
Choć należała do prostego włościanina, ten pielęgnował ją starannie. Wiosną oczyszczał jej liście z liszek, na zimę owijał pień słomą. Zaprzestał tak chronić ją dopiero, gdy znacznie wzrosła nad ziemię.

I młodej wiśni było bardzo dobrze. Ledwie minęła zima, ledwie słonko zaczęło mocniej dogrzewać, ona okrywała swe gałązki drobnymi pączkami. Z pączków wysuwały się wnet listeczki; rosły szybko, a tymczasem słońce grzało coraz silniej. Pod jego promieniami budziły się uśpione muszki, wróbelki świegotały weselej, z daleka wracały jaskółki. Na wierzchołek strzechy przylatał z obczyzny do swego gniazda bocian. Spocząwszy nieco

nic więcej, jak tylko umowa specyalnych pośredników. Za granicą istnieje nadmiar kapitałów, dających bardzo nizki procent. Wylewają się one po za brzegi swego kraju i płyną na Wschód. Tysiące agentów, pośredników wszelkiego rodzaju podążają do nas, jadą dalej, do Cesarstwa i za Ural. Zadaniem ich jest wynaleźć taki grunt, na którym mogłoby się uczepić jedno ramię stowarzyszenia. Bez tego gruntu Towarzystwo będzie fikcyą. Pośrednicy, mając rozgałęzione stosunki, czynią poszukiwania, a zdobywszy przybliżone dane, oznajmiają organizatorom, że towarzystwo może być zawiązane. Powstaje tedy np. takie *Société anonyme*, które pod postacią agentów wypuszcza swoje ssawki daleko, np. aż do huty szklanej w Radomiu. Pośrednicy, zarobiwszy grubo, skończyli swoją rolę. Dalej niech sobie radzi *Société anonyme*. Istotnie, musi ono jakoś radzić, a mając olbrzymi kapitał, może nawet wyjść zwycięzko. Powstaną liczne huty, wytworzą się nowe ogniska przemysłu, przyjdą specyaliści zagraniczni, siły krajowe zaś skorzystają o tyle, że będą użyte do grubej posługi i staną się materyałem podatnym do wyzysku.

Już niejedno podobne „société anonyme“ rozpostarło u nas swoją działalność w tej lub innej postaci. Dzięki temu rozrosło się ogromnie pośrednictwo wszelkiego rodzaju i dotarło do różnych kątów. Te pijawki — dusze doraźnie zawiązywanych stowarzyszeń lub przedsiębiorstw wędrownych, ruchomych, zarabiają najwięcej. Tu i owdzie powstaje jakiś ruch przemysłowy, jakieś nowo przedsiębiorstwo, jakaś organizacya miejska lub fabryczna, ale kosztem soków krajowych. Jacyś np. przybysze tworzą w mieście X. wodociągi i młyny parowe, za „urządzenie“ i eksploatacyę biorą od miasta olbrzymie sumy, gdy tymczasem samo miasto bez pośredników i sił napływowych mogłoby stworzyć to wszystko za sumę o połowę lub trzy czwarte mniejszą, mieć wielkie zyski, z pożytkiem własnym i ludności miejscowej. To jest zjawisko bardzo smutne i niebezpieczne, które zabija w kraju wszelką samodzielność i inicyatywę. Gdy chodzi o pewne nowe przedsiębiorstwo, o zoranie i zasianie nowiny na nietkniętem dotąd polu ekonomicznem, mimowoli oglądamy się za obcymi, szukamy pośredników, agentów. Gdyby się dało obliczyć, jakie już sumy pochłonęli dotąd ci poszukiwacze nowych pól u nas, ci monterzy nowych kotłów ekonomicznych, w których mieści się siła obcych przedsiębiorców, przerazilibyśmy się ogromem cyfry, wyssaną z kraju sumą, przez samych tylko pośredników, która, zużyta bezpośrednio, mogłaby wzmocnić kraj ekonomicznie, zapewnić pracę tysiącom ludzi. Jest to procent lichwiarski, pobierany przez przybyszów za naszą naiwność i niedołęztwo, za nasze tchórzostwo. Świadomi rzeczy, fachowcy, którzy się dotknęli z blizka naszego życia, utrzymują, że kraj cały zawiera olbrzymie bogactwa, dotąd niewyzyskane; że gdyby nasze społeczeństwo odznaczało się większą energią, a nasze kapitały nie kryły się tchórzliwie w różnych papierach wartościowych i kasach ogniotrwałych, moglibyśmy wytworzyć nowe ogniska pracy niezależnej i tym sposobem zażegnać wiele klęsk ekonomicznych i społecznych. Podobno samo tylko udoskonalenie urządzeń w ważniejszych miastach Królestwa mogłoby być nieprzebranem źródłem zysków i pracy dla wielu rzesz, a cóż mówić o bogactwach ziemnych, o udoskonaleniu zdrojowisk, stacyj klimatycznych, o nowych, nieuprawianych dotąd lub zaniedbanych gałęziach produkcyi przemysłowo-rolnej i t. d.

Za kilka lat będziemy mieli garść fachowców z politechniki warszawskiej. Niech się oni rozejrzą po kraju, niech w nim zostaną, niech zdobędą zaufanie dusigroszów, a niewątpliwie na korzyść naszego społeczeństwa zmniejszy się działalność wszelkich *Sociétés anonymes* i ich agentów.



PAMIĘTNIK.

Odsłonięcie pomnika.

Zgodnie z ogłoszonym uprzednio przez warszawskiego Oberpolicmajstra regulaminem odbyło się 24 grudnia, o godzinie 10 rano, odsłonięcie pomnika A. Mickiewicza wobec kilku tysięcy osób, wpuszczonych za biletami. Po 15 minutach, gdy ks. Siemiec dopełnił poświęcenia, a orkiestra odegrała poloneza Moniuszki, zaczął płynąć w uroczystym nastroju tłum, który z odkrytemi głowami okrążał uregulowaną rzeką pomnik i rozpraszał się spokojnie. Ta cicha i głęboko wzruszająca procesya przesuwała się do późnej nocy. Z zagranicy przyjechali tylko liczniej Szlązacy, prof. O. Bujwid z Krakowa, kilku korespondentów pism galicyjskich i dwu czeskich.

Pomnik wysoki 15 metrów, składa się z obszernego tarasu granitowego (gniewańskiego), otoczonego balustradą, w którą wprawione są cztery pochodnie, na łapach niedźwiedzich wsparte, a wyobrażające pionący znicz. Na tarasie wznosi się cokół z granitu włoskiego blado-różowego, którego górna część stanowi ośmiosłup z granitu szarego, a na nim stoi figura poety z brązu zielonkawego. Napis u spodu: „1798—1855 — Adamowi Mickiewiczowi rodacy 1898.“

Uczucia, jakie w nas budzi sam widok pomnika, nie pozwalają nam zająć się oceną jego wartości artystycznej. W tej chwili poddajemy się tylko wzruszeniu, któreby nas ogarnęło również, gdyby był inny, lepszy lub gorszy. Nie możemy jeszcze myśleć o dziele p. Godebskiego, bo myślimy wyłącznie o Mickiewiczu.

Vieux Polonais.

Kiedy Faure, prezydent Rzeczypospolitej francuskiej po powrocie z Petersburga przejeżdżał z dworca do swego pałacu, w jednym z kiosków ulicznych wybuchła bomba. Bliższe zbadanie jej resztek przekonało, że była to zwyczajna puszka blaszana, napełniona prochem i odłamkami żelaza. Ponieważ wszakże na miejscu zna-

---

po drodze, zaczynał głośno klekotać, a wiśni, gdy głos ten posłyszała, zdawało się, że on mówi:

— O, jakżeś urosła!

Powietrze napełniało się gwarami, a równocześnie wkoło niej na ziemi tryskało życie z każdego zakątka. Przy płocie głóg obrzucał swe kolczaste gałązki zielenią, u jego stóp pokrzywy, miodunki, bylice, tłoczyły się i usiłowały przerość się nawzajem. Dzikie ślazy rozpuszczały okrągłe listki, potem na grzędach warzywa, młode ziemniaki, kukurydza i proso rozpanoszały się, grubiały, pędziły w górę. W najbliższem jej sąsiedztwie zieleniały grusze, jabłonki i śliwy, a wkrótce po wdzianiu liścia stroiły się w śnieżne i różowe kwiecie.

Podówczas ukazywały się i na niej kwiaty. W pierwszych latach było ich niewiele, lecz później, kiedy przybyło jej sporo gałązek, okwitała tak rzęsiście, że wydawała się ogromnym białym bukietem. Ten czas kwitnięcia był najszczęśliwszym. Uczuwała wtedy bezgraniczną miłość dla chaty ze słomianą strzechą, dla drzew sąsiednich, dla kwiatów, które rosły na pobliskiej grzędzie. Kochała gorąco sinc pośród ciemno-zielonych liści wiechy tojadów, pękate, różowe piwonie, wonną rutę i miętę.

Kochała dzieci wieśniacze, które w jej cieniu śpiewały piosnki, gospodarza, który często zatrzymywał na niej zadowolony swój wzrok, gospodynię, która stawała w pobliżu jej gałązek z niemowlęciem na ręku. Czasem dziecko sięgnęło rączką po jeden lub dwa jej kwiatuszki, matka zrywała je i kładła mu w drobną dłoń.

Nawet kiedy słońce zgasło i wieczór ogarniał ziemię, nie kończyło się szczęście wieśniaka. Wtedy doznawała nowej rozkoszy. W jej gałęziach siadał słowik i wyśpiewywał najcudniejsze trele. Zaczynał bojaźliwym przyśpiewkiem, wydawał dźwięki nieśmiałe, słabe, jakby próbował swoich sił. Lecz wnet rozśpiewywał się, rozogniał i pieśń płynęła z jego piersi niewstrzymanym strumieniem. Była to przeciągła, to urywana, dźwięczna i rozkoszna, lub żałosna i miękka. I w odgłos jej wsłuchiwały się kwiaty ogrodu, drzewa wyniosłe, droga ciągnąca się przy domostwie, księżyc wysoko na niebie. Nawet gospodarz, choć wracał zawsze strudzony, budził się niekiedy i mówił:

— Ach, jak ślicznie śpiewa słowik w naszym sadzie.

Po jakimś czasie milkły jego śpiewy, nadchodziło lato i jesień, a wisienka wciąż myślała: kiedyż ten ptaszek zacznie znów śpiewać? Gdy zaś następnej wiosny słowik rozgaszczał się ponownie w gałęziach, jej radość nie znała granic.

* * *

Otóż zdarzyło się, że pewnego razu przejeżdżał przez tę wioskę obcy książę. Podczas gdy jego konie popasały, on ze świtą oglądał wieś. I przechodząc, przy chatce naszego gospodarza zoczył wisienkę. W bieluchnym stroju kwiatów, smukła i hoża, tak podobała się księciu, że wszedł na podwórze wieśniaka i spytał, czy nie oddałby mu tego drzewa. Gospodarz z początku zdziwił się, lecz widząc, że cudzoziemiec nie żartuje i że drzewo istotnie przypadło mu do serca, zgodził się.

Książę wynagrodził go hojnie, kazał wykopać wisienkę i wysłał ją do swego zamku.

A wznosił się on daleko na brzegu morza. Szczytem swoim zdawał się całować chmury, o stopy góry, na której był zbudowany, rozbijały się nieustannie gniewne bałwany oceanu. Białe i szare ptaki morskie siadały na jego strażnicach, często orły szumiały nad niemi. Zamek rozbrzmiewał głosami trąb i trąbek lub echa-

lezioną kartkę z napisem: „vieux Polonais,“ więc odrazu wytłomaczono pobudki sprawcy zamachu. Prasa europejska natychmiast zabrała się do sądu i kary, przyczem jedne dzienniki poddały biednego „vieux Polonais“ okrutnej chłoście, a drugie wprost go powiesiły (in effigie). Musieliśmy na tę egzekucyę patrzeć i milczeć, bo nie mieliśmy żadnego przeciwdowodu do odparcia nieszczęsnej kartki. Aliści po latach wielu, kiedy o tej sprawie zapomniano, rząd francuski wyławiając ryby w rodzaju Esterhazego i Henry'ego, złapał w sieć niejakiego Deciona, który szpiegował w armii—podobno—dla Niemców. Otóż ten łotrzyk między innemi przyznał się również, że sfabrykował ową bombę i kartkę „dla odwrócenia uwagi w inną stronę.“ On to więc był „vieux Polonais,“ który obecnie przeniesiony został z rachunku polskiego na francuski. Pouczający dowód, jakie to ziarna tkwią często w łupinie „stwierdzonych“ wypadków. Przy tym szeroko stosowanym systemacie „zwracania uwagi w inną stronę“ — wszelkie przypuszczenia co do bandy fałszerzów, oszustów i szpiegów w armii francuskiej wydają się możliwemi: i niewinność Dreyfusa, i udział ludzi szanowanych w zdradzie i t. d.

Listonosze.

Już dwa razy *Kuryer Warszawski* poruszył sprawę zapomnianej i przeciążonej kategoryi pracowników: listonoszów w naszem mieście. Oto przedewszystkiem kilka cyfr: Według danych spisu jednodniowego (w liczbach okrągłych), Warszawa ma mieszkańców 614,000, Moskwa 988,000, Petersburg 1,267,000. W Petersburgu czynnych jest 987 listonoszów, w Moskwie 670, w Warszawie tylko 112. Tym sposobem w Petersburgu przypada jeden listonosz na 1,284 mieszkańców, w Moskwie—1,460, w Warszawie—5,454, a nawet 5,700, jeżeli się weźmie pod uwagę cyfrę ludności w chwili obecnej. Tak więc listonosz warszawski ma 4¼ razy więcej pracy, niż petersburski, a 4 więcej, niż moskiewski. Listonosz warszawski otrzymuje od 500 do 800 listów zwyczajnych, w niektórych zaś dzielnicach, jak na Nalewkach, po 1,200; nadto — po 20 —40 poleconych. Po listy te zgłasza się trzy razy dziennie do kantoru pocztowego: o 8 i 10½ rano, oraz o 6 wieczorem. Licząc tylko jedną minutę na doręczenie każdego listu, trzeba zużyć 13 godzin, ażeby roznieść 800. Ale bardzo często się zdarza, że listonosz musi szukać adresata dość długo. Chodzenie zaś po piętrach, to także coś znaczy. Dodajmy do tego jeszcze czas na rozpatrzenie adresów i ułożenie listów, na trzykrotne zgłaszanie się do kantoru, a będziemy mieli chociaż przybliżone pojęcie o pracy nadludzkiej. Za ten bajecznie nieprawdopodobny ciężar obowiązków listonosz pobiera tylko od 15 do 25 rubli miesięcznie, tj. sumę, która w żaden sposób nie może wystarczyć na mieszkanie i utrzymanie rodziny, a nieraz i na przyjazd tramwajami z kantoru do odległej, wyznaczonej dzielnicy.

A teraz zobaczmy, jaki jest dochód z korespondencyi pocztowej w Warszawie: Przed laty nie przewyższał on w ciągu roku 800,000 rubli, dzisiaj wynosi 1,200,000 rb! A jednak i dziś, jak przed laty, poczta warszawska obsługiwana jest prawie tą samą liczbą — 400 pracowników (urzędników biurowych, listonoszów, pocztylionów i stróżów). Zdawałoby się, że wzrost ludności tudzież dochodów poczty (o 50%) powinien całkiem naturalnie wpłynąć na zwiększenie liczby pracowników, a zmiana warunków ekonomicznych — ogólna drożyzna — na zwiększenie płacy. Tymczasem wszystko tak się dzieje, jak przed laty 25. Dziwić się doprawdy trzeba, jak ci ludzie przy nadmiernej pracy i lichem wynagrodzeniu mogą istnieć. Taki stan rzeczy odbija się fatalnie także na interesach mieszkańców miasta. Otrzymują oni korespondencyę spóźnioną, listy nieraz giną, a nawet pamiętamy, że jakiś listonosz wysypał całą zawartość swojej torby do kloaki czy śmietnika, za co był postawiony pod pręgierzem przez prasę. Płytka, bezmyślna reporterya nie wejrzała w pobudki tego czynu, który niewątpliwie był wynikiem rozpaczy z nadmiaru pracy — lecz domagał się wyrzucenia, a nawet uwięzienia listonosza. Nikomu wtedy nie przyszło na myśl zastanowić się nad tem, w jakich warunkach ci ludzie pracują. Dopiero przed paru tygodniami poczta warszawska zwiększyła liczbę listonoszów o 10 i dodała tyluż urzędników biurowych. Wobec potrzeb rzeczywistych jest to prawie niedostrzegalna drobnostka. Ma ona jednak pewne swoje znaczenie, bo ujawnia dążność do reform pożądanych. Poczta warszawska posiada tak olbrzymie dochody, że śmiało można żądać takich reform w najszerszym zakresie. Wiąże się z niemi także budowa gmachu. Dzisiejsze pomieszczenia nietylko gwałcą najelementarniejsze warunki hygieny pracy (ciasnota, brak powietrza lub przeciągi, oświetlenie sztuczne nawet w dni słoneczne), lecz wprost są zjawiskiem krzycząco nienormalnem w mieście pierwszorzędnem pod względem ludności i kultury.

Ile wydajemy książek?

Dziennik belgijski *Le soir* (z 24 września) zamieścił artykuł p. t. „Siedemnaście milionów stronic.“ Tyle ma wynosić roczna produkcya książek (bez czasopism) w językach całego świata. Autor tego artykułu twierdzi, że obliczeń swoich dokonał na podstawie informacyj otrzymanych od ministeryów spraw wewnętrznych. Zapowiedzenie to wydaje nam się mocno podejrzanem nietylko z powodu nieścisłości wielu szczegółów rachunku, ale głównie z powodu wykazu uczestnictwa procentowego różnych narodów w owej sumie. I tak:

Francuzi	23 %	Holendrzy	2 %
Anglicy	22 „	Austro Węgrzy (!)	2 „
Niemcy	19 „	Duńczycy	1 „
Włosi	6 „	Japończycy	1 „
Hiszpanie	4 „	Chińczycy	1 „
Rosyanie	4 „	Rumunowie	1/2 „
Szwedzi	3 „	Turcy	1/2 „
Norwegczycy	3 „	Flamandczycy	1/2 „
Grecy	3 „	Polacy	1/3 „
Portugalczycy	2 „	Inne narody	2 „

Na nas tedy wypadałoby około 300 tomów rocznie. Wykaz ten jest po prostu śmiesznym. Pomijając jakiś język „austro-węgierski,“ któremu autor przyznaje dość wysoki procent, utrzymywać, że literatura polska zajmuje ostatnie miejsce pod względem produkcyi książkowej, że stoi niżej od greckiej, portugalskiej, a nawet od chińskiej i japońskiej — może tylko Francuz, tj. przysłowiowy ignorant w sprawach obcych. Ponieważ książki polskie wychodzą w kilku państwach, więc trudno nam je ująć w ścisłą statystykę, sądzimy jednak że one stanowią co najmniej 2 do 3% ogólnej produkcyi. Warto byłoby oznaczyć tę cyfrę ściśle.

* * *

Numer dzisiejszy zamyka osiemnasty rok istnienia *Prawdy*. Przed progiem nowego roku życzymy wszystkim szczęśliwych chwil, z których rodzą się radosne wspomnienia.

---

mi biesiad. Roiło się w nim od ludzi, na wałach żołnierze z błyszczącymi bordyszami odbywali straż, podwórze tętniło od koni rycerskich, a na schodach i posadzkach pokojów uwijała się służba i strojni dworacy.

Książę, który jeszcze nie wracał, kazał umieścić wisienkę na balkonie przy sali stołowej, w pięknej, złoconej kadzi. Widziała stąd ogromny pas ślicznej ziemi, lasy, co owijały wieńcem górę zamkową, morze mieniące się barwami w słońcu, całe ruchliwe życie na zamku. Słyszała nieraz pieśni śpiewaków, którzy przybyli do zamku, okrzyki godowe, huczne wiwaty. Często żona księcia siadała przy niej, a troszczono się o nią ciągle.

Ale wisience było dziwnie smutno. Nie bawił jej widok tysiąckroć rozleglejszy, nie bawił przepych dworu, ani błyszczący wojownicy. Księżna, choć spojrzała ku niej niekiedy, nie miała nigdy w oczach tej życzliwości, co niegdyś wieśniacy; dźwięki muzyki nie upajały jej tak słodko, jak pienia słowicze. I uroniła szybko kwiat i nawet więdnąć zaczęła.

Tak było do następnej wiosny. Tymczasem książę przyjechał, a widząc, że choć już rok minął od czasu przywiezienia drzewa, ono nie kwitnie i ledwie zieleni się, pomyślał sobie, że ma, być może, mało powietrza i że należałoby je gdzieindziej umieścić. Kazał przeto przenieść ją do parku w zaciszne miejsce, kędy słonko ciągle grzało i wiatr rzadko przylatał.

I ustawiono ją pośród świerków i cisów, gdzie kosy często gwizdały, na wyniosłości, którą w dole zraszał szemrzący potoczek. Tam w dolinie ciągnęły się także grządki z kwiatami. Pochodziły one z dalekich stron i świetniały barwami, jak tęcze. Były wszystkie o wiele piękniejsze, niż tojad, ich woń o wiele milszą nad woń mięty.

Lecz wisienka tęskniła za ojczystą glebą i nie widziała tej piękności, ani nie czuła woni. Myślała o ptaku, co witał ją z każdą wiosną swem kląskotaniem, o dzieciach, które pobrawszy się za ręce, śpiewały w jej cieniu. I lato zeszło, a ona nie zakwitła. Książę był zdziwiony. Ogrodnik radził drzewo wyrzucić, bo nawet liście opadły szybko z jego gałązek. Ale na rozkaz pana przeniósł wiśnię do ogromnej cieplarni. Tu wspaniałość kwiecia była jeszcze większą, a do ścian zabudowania były przytwierdzone klatki z barwistymi cudzoziemskimi ptakami. Śpiewały i gwizdały, wybijały kuranty, ale tęsknoty wiśni nie zdołały rozpędzić.

Marzyło się jej wciąż o hatce ze strzechą, przy której wyrosła, o szarych wróblach, słowiku, dziecięciu gospodyni. Mimo ciepła i słońca poczęła schnąć.

Pamiętając jej dawną krasę, książę nie pozwalał jej niszczyć. Sądził, że miała może dawniej grunt bardziej odpowiedni i wysłał ją do wsi, skąd pochodziła, dołączając nadto dla wieśniaków kilka podarków. Zdziwił się gospodarz otrzymując drzewo, lecz ponieważ książę tego sobie życzył, zasadził je ponownie w swym ogrodzie.

I patrzcie, wiosną, gdy wiśnia ujrzała miejsce, gdzie rozwinęła się, swoje ptaki znajome, swoje drzewa, ledwie przyfrunęły pierwsze, drogie jej jaskółki, okryła się bujnie liściem, a potem w kwiaty ustroiła się tak suto, że ledwie zieleń pośród nich można było dojrzeć. Tak dobrze i szczęśliwie uczuła się wisienka na swojej globiel...

Staruszek nie zauważył, że jego córka tym razem głośno otworzyła drzwi i wybiegła naprzeciw syna. W jego oczach zakręciły się łzy i trzymając rękę na główce zasłuchanego wnuka, szeptał:

— Tak bywa i z człowiekiem.

Włodzimierz Bugiel.

BADANIA NAUKOWE.

SZKOŁY I WYCHOWANIE W DAWNEJ POLSCE.

II.

Oświata miała znaczenie tylko dla ludzi, którzy się przygotowywali do stanu duchownego. Laicy, zwłaszcza z wyższych sfer uprzywilejowanych, lekceważyli ją zupełnie i uważali za niepotrzebną. Szkoła średniowieczna była instytucyą czysto kościelną i używała prawie wyłącznie języka łacińskiego. Naukę elementarną rozpoczynano od machinalnego „memorowania" pacierza i psalmów w języku łacińskim, co zarówno uczniom, jak i nauczycielom sprawiało niezmierny trud. To też św. Wojciech, sprzykrzywszy sobie tę naukę męczącą, uciekł do domu i dopiero surowa kara rodzicielska zmusiła go do powrotu. Uczenia elementów podejmowały się niekiedy zakonnice, które miały dużo czasu i cierpliwości. Uczyły one także Zbigniewa, naturalnego syna Władysława Hermana.

Sub virga degere, sub virga magistri constitutum esse! To znaczyło — pobierać naukę szkolną. Bez rózgi i trzcinki nie rozumiano jej wcale. Trzcinka była godłem nauczyciela rzymskiego, a potem średniowiecznego. W Polsce ten środek pedagogiczny miał bardzo szerokie zastosowanie. Skutkiem kary surowej, wymierzanej za lada przewinienie, liczni uczniowie uciekali ze szkoły, a chcąc uniknąć nowych plag w domu, ukrywali się w lasach i jaskiniach. Czasem, doprowadzeni do ostateczności, mścili się w dotkliwy sposób. W niektórych klasztorach wymierzano plagi w pewnych oznaczonych dniach wszystkim uczniom, chociaż na to nie zasłużyli. „Była to „generalna ekspiacya za przewinienia," popełnione w pewnym okresie czasu. System taki nie wpłynął dodatnio na stosunek ucznia do nauczyciela. Przepisów, zalecających godzenie surowości z łagodnością, niepodobna było zastosować w życiu. Jedna wszakże zasada w systemie pedagogicznym była dobra: W wiekach średnich rozumiano, że przeciążenie uczniów pracą szkodzi ich rozwojowi fizycznemu i umysłowemu. Z tego powodu każdy rozsądny nauczyciel uwzględniał popęd chłopców do zabaw i rozrywek. Dłuższych feryj nie znano. Do zwykłych, wolnych od nauki dni należały niedziele i święta, oraz popołudnia ich wigilij. Zabawiano się grami, rozwiązywaniem zagadek, w lecie zaś robiono wycieczki za miasto. Podczas wielkich świąt w kościołach odbywały się przedstawienia, w których brali udział księża scholarze. Młodzież klasztorna rzadko opuszczała mury. Natomiast scholarze szkół katedralnych mieli podczas dni świątecznych zupełną wolność, której bardzo często nadużywali. Wychodzili tłumnie na ulice, zaczepiali i turbowali mieszkańców, zwłaszcza Żydów. „Scholarze krakowscy — pisze p. Karbowiak — naśladując jakiś przewrotny i naganny zwyczaj, który się w Polsce zakorzenił, urządzali w dzień Bożego Narodzenia i przez kilka dni następnych w klasztorze tynieckim uczty i pijatyki, śpiewali sprośne pieśni, naigrawali się z zakonników, wyzywali ich do bójki i doprowadzali do rozlewu krwi, zabierali dobytek klasztorny i dopuszczali się najrozmaitszych wybryków ku wielkiemu zgorszeniu braci zakonnej."

Rycerstwo średniowieczne, uważając naukę za czas strwoniony, nie posyłało swych synów do szkół. Jeżeli rycerze mieli przypadkowo jakie wykształcenie literackie, to tylko zawdzięczali je swoim matkom. Wiadomości z dziedziny prawa i administracyi, potrzebne na wyższych urzędach, zdobywano praktycznie. Łaciny uczono się także tą drogą. To też laicy tylko wyjątkowo korzystali z nauki szkolnej. Nawet pomiędzy Piastowiczami niewielu było wykształconych. Ani Mieszko, ani Bolesław Chrobry nie posiadali wiedzy szkolnej. Mieszko I nie miał żadnej do tego sposobności. Mieszko II umiał po łacinie, a podobno i po grecku. Dopiero Kazimierz Odnowiciel był pierwszym naszym księciem, posiadającym szerszy, a nawet najszerszy widnokrąg edukacyi ówczesnej. O wykształceniu Bolesława Śmiałego milczą kroniki; „widać, że go nie miał." Według świadectwa Wincentego Kadłubka, Kazimierz Sprawiedliwy posiadał bardzo wysokie wykształcenie.

Ciekawy jest w pracy p. Karbowiaka rozdział, poświęcony wykształceniu szkolnemu kobiet i klasztorom żeńskim. U Słowian pogańskich kobieta, jak wiadomo, zajmowała niepoślednie stanowisko społeczne. Nie wykluczono jej nawet od rządzenia, a religia chrześciańska przyznała jej w rodzinie bardzo poważne miejsce. Co do wykształcenia Polek z najwyższych sfer społecznych, autor nie posiada pewnych danych i tylko się domyśla, że nie poprzestawały one na zwykłem praktycznem wykształceniu w robotach i zajęciach domowych. „Wyuczenie się języka łacińskiego i czytania musiało być gorącem pragnieniem wielu niewiast pobożnych i zamożnych. Przed założeniem klasztorów żeńskich w Polsce panienki mogły się kształcić albo prywatnie pod kierunkiem księdza, albo też w klasztorach zagranicznych. Obie drogi pociągały za sobą znaczne koszty; z nauki korzystać mogły tylko córki rodów zamożniejszych, a przedewszystkiem księżniczki. Powstanie klasztorów żeńskich uprzystępniło naukę szerszym masom. Zakłady te istniały w Polsce już prawdopodobnie za czasów Bolesława Chrobrego. Przyszły one z zagranicy jako zupełnie rozwinięte instytucye, a więc i szkoły klasztorne otrzymać musiały organizacyę podobną do zagranicznej. Nowicyuszki, przeznaczone na zakonnice chórowe, kształciły się w szkołach wewnętrznych, oddzielonych całkowicie od świata. Celem głównym tych zakładów było wyuczenie czytania łacińskich książek nabożnych, „memorowanie" psalmów, niektórych modlitw i pieśni łacińskich, wreszcie rozumienie kalendarza kościelnego. Pomiędzy edukacyą chłopców a panienek nie było zbyt wielkiej różnicy w wiekach średnich. Niektóre żeńskie szkoły zagraniczne uprawiały nawet naukę wyższą; czytywano autorów klasycznych. Każda zakonnica musiała rozumieć kalendarz, umieć śpiewać i, o ile możności, grać na jakim instrumencie.

Jak wiadomo, Polacy czerpali wyższą wiedzę za granicą. Historya przekazała wiele imion. W połowie XI w. młodzież polska dążyła do Francyi. Ze względu na to p. Karbowiak poświęca sporo miejsca wyższym zakładom zagranicznym i wogóle źródłom szerszej oświaty na Zachodzie. Przed r. 1215 w Paryżu uczyło się kilku Polaków. Oprócz Kazimierza Odnowiciela i Stanisława Szczepanowskiego czerpał tam podobno wiedzę także Wincenty Kadłubek. Kształcił się również nad Sekwaną św. Iwo, późniejszy biskup krakowski. Tradycya wymienia nadto jako uczniów paryskich, scholastyka krakowskiego a następnie biskupa wrocławskiego Waltera, i arcybiskupa gnieźnieńskiego, Bogumiła. Prawdopodobnie znaną też była Polakom szkoła medyczna w Montpellier.

Okres drugi (1215—1365), jakkolwiek niepomyślny pod względem politycznym, odznacza się większym rozwojem cywilizacyi w Polsce. Kościół i mieszczaństwo zyskały przywileje, które im pozwoliły tem skuteczniej rozwijać oświatę. Książęta piastowscy, zajęci sprawami politycznemi, nie zwracają uwagi na sprawy wychowania i szkół, ale udział ich w edukacyi szkolnej jest w tym okresie znaczniejszy aniżeli w poprzednim. Niektórzy książęta posiadają piękne biblioteki, któremi obdarowują kościoły i klasztory. Nie brak i innych ofiar (np. Kazimierz Wielki darował grunt pod szkołę parafialną w Skawinie). I w tym okresie kościół był prawie jedynym głównym opiekunem nauki i oświaty. Przez legatów utrzymywano łączność z Zachodem, skutkiem czego szkoły i wychowanie w Polsce nie odbiegły od ogólnych form i kształtów średniowiecznych. Z drugiej zaś strony synody prowincyonalne, które się odbywały pod prezydencyą arcybiskupa gnieźnieńskiego, łączyły z sobą do pewnego stopnia nawet najdawniejsze dzielnice Polski tudzież nadawały szkołom i wychowaniu w Polsce jednolity charakter i kierunek.

Szkole, a przez nią w znacznej mierze i społeczeństwu polskiemu groziła germanizacya, której jednak zapobiegło duchowieństwo ówczesne. Żywioł niemiecki rozrastał się wewnątrz i zewnątrz. Wewnątrz Polski podawały sobie ręce dwa potężne obozy niemieckie: klasztory i mieszczaństwo. Powstały w tym okresie liczne klasztory, złożone z cudzoziemców, przeważnie Niemców, nie przyjmujących do zgromadzenia młodzieży polskiej. Każdy taki zakład, wzmocniony kolonistami niemieckimi, był twierdzą germanizacyjną. Nadto w miastach i miasteczkach osiadł niemiecki stan mieszczański, zdrowy i silny, przewyższający cywilizacyą ludność miejscową. Jednocześnie wynarodowieniu sprzyjały także szkoły, zakładane przez Niemców i zaopatrywane w niemieckie siły pedagogiczne. Ale dzięki przezorności ówczesnych książąt kościoła, odwróciło się niebezpieczeństwo, a kolonizacya zamiast klęski, przyniosła Polsce w zakresie wychowania poważne korzyści. Wynarodowieniu uległy tylko kresy.

Dzieło p. Karbowiaka zawiera dużo ciekawych, skrzętnie i mozolnie wydobytych z ukrycia szczegółów, dotyczących organizacyi wewnętrznej i programów szkół w Polsce. Jednocześnie znajdujemy obszerne opisy uniwersytetów zagranicznych, z których światło do nas płynęło. Nie zawsze autor rozporządza pewną sumą danych. Często mu się nasuwa materyał wątpliwy; skutkiem tego wielu rzeczy tylko domyśla się, usiłuje wykazać ich prawdopodobieństwo, wreszcie ratuje się paralelą stosunków i objawów, panujących za granicą. Paralela taka jednak jest konieczną, gdyż dzieje oświaty i wychowania w Polsce ściśle się wiążą z Zachodem. Stamtąd do nas przedzierały się pierwsze brzaski, stamtąd przychodziły wzory i urządzenia gotowe.

Z. P.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Aurora Leigh. — M. James Darmsteter: *Ménage de poets*, 1998. — *The letters of E. B. Browning*, ed. by F. Kenyon, 1897.

Pobyt u ciotki, która chciała jej dać wychowanie światowe, był dla niej niewymownie przykry. Zamknęła się w sobie, mając za powierników tylko niebo,

morze i noc. „Dusza moja—wola z dumą—nie jest żebraczką... Może ona żyć własnem swem życiem, bez jałmużny ludzkiej.“ Chciała być sobą i tylko sobą i taką pozostała do końca. Przechodziła śród tłumów bez promienia, ale i bez pogardy. „Tłumy są bardzo dobre, aby śród nich dumać, gdy jesteśmy dość silni po temu.“ Żyła zamknięta w książkach.

W dwudziestym roku dwa życzenia wyraźnie się w niej zarysowały, być wielką artystką i być kochaną. Kochać, marzyć i czynić, tj. być pożyteczną — w jaki sposób pogodzić te sprzeczne dążenia swej duszy? Dotychczas w poemacie przemawiał głos kobiecy, teraz odzywa się głos męzki Romneya, kuzyna Aurory.

Do czynu trzeba myśli — powiada Romney — a czyż kobiety są w stanie myśleć? Czują, cierpią, płaczą, śmieją się lub radują. Ale myśleć! Myśleć, to wznosić się od faktu do idei, od szczegółów do ogółu. Otóż kobiety są nawskróś indywidualistkami, niewolnicami faktu i szczegółu i dlatego — wnosi Romney — nie potrafią z pożytkiem brać udziału w walkach społecznych. „Ludzkość dla was, kobiet, jest to dane dziecko lub dany mężczyzna; nie jest to i nie będzie nigdy całość istot ludzkich!“ Nigdy kobieta nie marzyła o tem, aby zbawić ludzi, ale wiele z nich marzyło o tem, aby zbawić jednego człowieka. „Nie dacie nam nigdy Chrystusa!“ — woła Romney i to nie dla braku serca, lecz dla braku tej jasnej i głębokiej myśli, która widzi całość nędz ludzkich, jak to tylko umysł męzki widzieć potrafi. Ludzkość nie potrzebuje jałmużny waszej dobroci, ona chce prawa, sprawiedliwości, które dla was są tak obojętne, jak zadanie algebraiczne. Miłość może być tylko upiększeniem życia, ale nie jego celem. Toż samo sztuka. I dlatego Aurora, dla której miłość i sztuka są rzeczami bezwzględnemi, wydaje się Romneyowi spóźnioną w naszym wieku pozytywnym marzycielką i idealistką. Tak, trzeba nam sztuki — powiada — ale nie tej, o której ona marzy. Trzeba nam poematu cierpień ludzkich. „Czy słyszysz ten wielki krzyk nędzy, który się rozlega ze wszystkich krańców świata? Ten krzyk trzeba nam oddać.“

Aurora zupełnie inaczej spogląda na zadania poety: on ma utrzymywać otwartemi drogi, które łączą świat widoczny z niewidzialnym. „Jeżeli Fourierów— powiada — spotkało niepowodzenie, to dlatego, iż nie rozumieli, że świat rozwija się z wewnątrz na zewnątrz.“ Biedne cele „karmienia publicznego“ nie wystarczają jej: poezya jest sama sobie celem.

Ta różnica poglądów jest zbyt głęboką. Pomimo uczucia serdecznego, które ich wiąże, każde idzie w swoją stronę. Aurora nie chce być pocieszycielką Romneya w walce, którą podjął — chce być sobą. On staje się działaczem społecznym, ona — artystką.

Upłynęło wiele lat. Romney i Aurora znowu się spotykają na drodze życia. On złamany, zwichnięty, zapoznany i ścigany przez tych, których chciał zbawić, ona — szczęśliwa świadomością pożytecznie wykonanej pracy, sławą zdobytą na polu poetyckiem, niezadowolona jednak tem, iż musiała się wyrzec połowy swych snów młodzieńczych: pędziła życie ascetki, nie znając miłości.

Doświadczenie życiowe wywołało zmianę w poglądach Romneya. Dawniej chciał pracować dla przyszłych pokoleń, wiedząc, iż owoce jego zabiegów rychło dojrzeć nie potrafią. Teraz powiada: „Byłoby bardzo niewielką pociechą dla mastodontów, gdyby się dowiedziały za czasów swego istnienia, iż postęp wymaga, aby zaginęły i że na ich miejscu może się pojawić rasa słoniów; ależ one nie były słoniami, a ja, który jestem człowiekiem, podobnym do ludzi obecnie istniejących, a nie do tych, którzy kiedyś nastąpią po nas, ja współczuć mogę tylko z cierpieniem ludzi współczesnych.“ Prawa jednostki nie powinny być poświęcone na ołtarzu ras — powiada. Nie powinniśmy się wyrzekać siebie samych dla wątpliwego szczęścia przyszłych pokoleń, jeżeli *nb.* planeta nasza wówczas jeszcze istnieć będzie. Czemuż poświęcać się będę dla jakichś widm niewidzialnych, które swoją drogą także poświęcać się mają — dla jakichś bogów chimerycznych. Religia ludzkości jest tylko marzycielstwem lub fanatyzmem. Powinniśmy raczej pamiętać, iż każdy człowiek jest dla rasy nowym Adamem, od którego przyszłość jej zależy. Ludzkość warta jest tyle, ile wart jest każdy z nas. Nie trzeba więc programów, systemów, ani utopij. Nie należy robić ze świata „ogrodu angielskiego“ kosztem osobowości ludzkiej. Chleb nie jest wszystkiem, należy rozwijać osobę duchową, moralną człowieka, za pomocą pracy i wysiłku. Praca jest radością życia, o ile jest indywidualna i niezależna — trzeba zapewnić tę pracę ludziom. A głównie trzeba uduchownić ich życie religią piękna i marzenia. Dla tych, co umieją widzieć, „ziemia jest pełną nieba.“

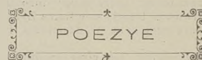
„Gdyby człowiek mógł czuć, nie chwilowo, w ekstazie artystycznej, lecz ciągle, podczas wypoczynku i podczas pracy, sens duchowy, który przebija się przez hieroglify świata widzialnego, uwielbiałby wszystko, ryby, ptaki, zwierzęta i ziemię całą—nawet swe ciało.“ Wówczas radość nieskończona przenikałaby go i unosiła po nad ziemią.

W przekonaniach Aurory Leigh — a przekonania te podziela obecnie Romney— sztuka jest największem dobrem życia — jest prawdziwą religią. Artysta jest kapłanem, tłomaczącym człowiekowi znaczenie otaczających go symbolów. Niepowodzenie Romneya — zdaniem autorki — w tem właśnie się kryło, iż zapoznawał rolę sztuki w życiu. On człowiek faktów i nauki nie wywołał echa w sercach ludzkich, natomiast Aurora, marzycielka natchniona, zdobyła powodzenie i sławę. Młoda dziewczyna miała więc racyę, gdy w dwudziestym roku życia prawiła pogardliwemu filozofowi: „Trzeba duszy, aby pociągnąć tłumy, chociażby nawet dla zdobycia chleba.“ Tłum jest stadem i ruszyć go może tylko wiara potężna poetów, natchnionych ideą dobra, piękna i prawdy. Poezya jest życiem samem, tylko życiem nader natężonem. Jej źródłem jest miłość. I dlatego w żaden sposób „artystka zupełna“ nie rozwinie się z matki, z „kobiety niezupełnej.“ Z biegiem lat Aurora coraz bardziej o tem się przekonywała, i teraz, gdy Romney powrócił, nietylko sercem, ale i myślą ku niej zbliżony, nic już nie staje na przeszkodzie ich szczęściu. Aurora, również jak Elżbieta, uratowaną była przez miłość na schyłku życia, w epoce, gdy cienie się przedłużają.

„Men and Women“ miały tylko umiarkowane powodzenie, „Aurora Leigh“ natomiast wzbudzała entuzyazm powszechny, który sam Browning podzielał. „Ona — powiadał o żonie — ma iskrę boską. Ja jestem tylko zwykłym pracownikiem. Przedstawmy sobie anioła, który chciałby także stworzyć świat — [illegible] daje coś mozolnego, gdy Bóg spokojnie, jednym ruchem powołuje świat do życia. Tym aniołem jestem ja, ona jest Bogiem, ja szukam, ona tworzy.“ Istotnie, „Aurora Leigh“ zawiera, głównie w swych uwagach filozoficznych, poloty twórczo potężnej myśli i niewymownego piękna. Praca ta wycieńczyła do ostatka słabe siły Elżbiety, która z jednej strony wdała się w spirytyzm, z drugiej zachwycała się zamachem stanu Napoleona III. Wywołało to chwilową niezgodę w życiu poetów, gdyż Browning do końca życia pozostawał racyonalistą i republikaninem. Do piero sprawa wyzwolenia Włoch, ku której razem palali wielkim entuzyazmem, znowu ich pogodziła., Elżbieta napisała nawet z tego powodu zbiór pieśni politycznych, „Poems before the Congress,“ które przyjęte zostały dość chłodno. Tymczasem suchoty rozwijały się w dalszym ciągu i Elżbieta umarła w czerwcu 1861 r., Browning pozostał jej wiernym do końca swego życia, wprowadzając ją do wszystkich swych późniejszych poematów. Występuje ona w „The Book and the Ring,“ która jest historyą zbrodni, w postaci ofiary, Pompilli.

W „St. Martin's Summer“ [serce poety zadrżało do innej osoby, ale czuł, iż nie może się wyzwolić „z pod władzy umarłej miłości.“ W „Amphibian“ i w „The Householder“ Browning rozmawia z nieboszczką, pyta się jej o rady, jak gdyby była jeszcze żywą. Układają nawet napis dla wspólnego grobu. „Miłość jest wszystkiem, śmierć niczem.“ Pomimo to w „Fifine at the Fair“ poeta bierze na siebie rolę Don Juana: bawi się z Fifiną, nie przestając kochać Elwiry.

Dr. L. Winiarski.



Morskie Oko w nocy.

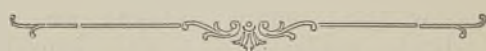
Cicho jezioro w granitów koronie
Śpi... Wielka martwość powietrze przesyca.
Zdaleka pachną kwiaty i żywica,
A woda wzdycha, kiedy wiatr zawionie.

W czarno-puszystej obłoków zasłonie
Wyrzeźbił okno zimny blask księżyca,
Na piersi wodom upadł, jak tęsknica,
I zbudził srebrnym pocałunkiem tonie.

A tam z głębiny fioletowo-śniada
Naga kobieta z wód zamarłych głuszy
Wypływa cicho — i na brzegu siada.

Poświetl jej srebrzy piersi i kolana —
A ona sina, drżąca, zasłuchana
Czeka, aż ranne słońce ją osuszy.

Władysław Sterling.



W DALI.

Łódź. Przed kilku dniami odbyła się próbna jazda wagonów kolei elektrycznej na linii od placu staromiejskiego do Paradyzu. Ruch prawidłowy otwarto d. 21 b. m.—Na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa dobroczynności postanowiono urządzić dwa odczyty, które wygłoszą prelegenci z Warszawy. — Towarzystwo Siemens i Halske otrzymało koncesyę na budowę centralnej stacyi elektrycznej w Łodzi, celem oświetlenia miasta i dostarczania dźwigni na użytek przemysłowy.

Płock. Zorganizowana już pomoc lekarska dla ubogich, przeważnie włościan, wkrótce wejdzie w wykonanie. Gubernię Płocką podzielono na 8 rewirów. W każdym będzie jeden szpital na 10 łóżek, oraz przy szpitalu ambulatoryum dla przychodnich chorych, od których za poradę pobierana będzie opłata po 10 kop., ale i ta opłata może być umorzona, jeżeli chory przedstawi świadectwo niezamożności, lub nie będzie mógł zapłacić za poradę. Po za rewirami głównymi, powstaną przy każdym, w 2 miejscowościach odrębnych, ambulatorya dla przychodnich chorych, w których w oznaczone dnie i godziny, lekarze rewirowi udzielać będą porad chorym. Następnie miasta, osady i wsie oznaczone na rewiry: 1) szpital i ambulatoryum w osadzie Bielsk, a także 2 ambulatorya: we wsi Starożrebach i w osadzie Raciążu; 2) szpital i ambulatoryum we wsi Bęklejewo, a także 2 ambula-

torya we wsiach: Bętkowo-kościelne i Mochowo; 3) szpital i ambulatoryum we wsi Dobrzejewice i oddzielne ambulatorya: we wsi Osówka i w osadzie Bobrowniki; 4) szpital i ambulatoryum w m. Rypinie i 2 ambulatorya: we wsi Okalewo i w osadzie Dobrzyń nad Drwęcą; 5) szpital i ambulatoryum w osadzie Szreńsk i 2 ambulatorya we wsiach: Zielona i Strzegowo; 6) szpital i ambulatoryum w osadzie Bieżuń i 3 ambulatorya: w m. Sierpcu, we wsi Krzemin i w osadzie Żuromin; 7) szpital i ambulatoryum we wsi Jednorożec i 2 ambulatorya we wsi Krzynowłoga Mała i w osadzie Żuromin; 8) szpital i ambulatoryum w m. Ciechanowie i 2 ambulatorya we wsiach Gołymin i Wola Młocka. Tak podzielone rewiry otrzymają każdy: lekarza, akuszerki-felczera i felczera. Lekarzami mianowanymi na powyższe rewiry, są doktorowie: 1) Berek Zacharow 2) Adam Olszewski, Stanisław Kozłowski, 4) Maryan Szwarc; 5) Antoni Budkiewicz; 6) Maryan Zienkiewicz; 7) Stefan Brudnicki i 8 Andrzej Lipke. Lekarze otrzymywać będą, jako wynagrodzenie za swoją pracę, po 900 rb. rocznie, mieszkanie, opał i światło, po za tem przeznaczono na każdy rewir po 200 rubli rocznie na rozjazdy. Akuszerkami—felczerkami mianowano: Anastazyę Jarjew, Natalię Plucińską, Maryę Lwow, Barbarę Piustow, Maryę Dimitrjew, Maryę Jakowlew, Aleksandrę Tuczlin, (jedno miejsce jeszcze nie zajęte). Wynagrodzenie akuszerek-felczerek wynosi: 360 rubli rocznie, mieszkanie, opał i światło. Dla ośmiu felczerów, dotychczas nie powołanych, postanowiono oznaczyć pensyę roczną na 240 rb., mieszkanie, światło i opał. Koszt utrzymania wszystkich szpitali, ambulatoryów, lekarzy, falczerów i obsługi, obliczono na 26,610 rubli. Sumę tę pokrywać będzie nowowprowadzony podatek, który się normuje w ten sposób: 1) od obywateli wiejskich po [illegible] od podatku gruntowego; 2) od obywateli miejskich po 10½% od podatku podymnego i kontyngensu liwerunkowego i wreszcie 3) od wszystkich, handlujących, fabrykantów i procederzystów pobierane będzie po 5% od ceny wykupywanych przez nich patentów rocznych.

Petersburg. *Peterb. Wied.* zamieściły korespondencyę, której wyjątki przytaczamy: „Od paru lat „sprawy warszawskie“ dostarczają smacznej strawy różnym sferom polityknjących Rosyan i nierosyan... Kto ma wolnego czasu dużo, plecie na temat polityczny natury. Niegdyś gęsi swoim krzykiem zbawiły państwo, dziś te stery politykujące swymi odgłosami pragną wywołać zbawczy przełom w prasowej polityce państwa. Czyżby te odgłosy również należało nazwać krzykiem gęsi? Tak, ale przed świętemi gęsiami z Kapitolu znajdowało się niebezpieczeństwo istotne, gdy u nas żadne niebezpieczeństwo nie grozi. Wszelako „walczący“ bohaterowie nie zaprzestają nawoływać; co więcej, są gazety, które nietylko słuchają gawęd, ale nawet płacą po 3 do 5 kop. za dostarczane wiersze „bólu narodowego,“ stosownie do ilości znajdującego się w tych wierszach patryotyzmu.—Z powodu odsłonięcia pomnika hr. Murawiewa w Wilnie i jednocześnie pomnika Sobieskiego we Lwowie, różne się odzywały odgłosy. W prasie zagranicznej twierdzono, iż fakt pierwszy jest demonstracyą antipolską, w prasie zaś rosyjskiej mówiono, iż fakt drugi jest demonstracyą antirosyjską. Jeden z dzienników rosyjskich pisze, że Polacy wykonali w Warszawie demonstracyę publiczną przeciwko uroczystości wileńskiej w ten sposób, iż w dniu tym na głównych ulicach Warszawy biegała armia chłopaków, sprzedawała *Kuryera Polskiego* z wizerunkiem pomnika króla Jana Sobieskiego we Lwowie. Zważyć trzeba, że król ten nigdy nie walczył z Rosyą, zresztą pomnik Sobieskiego stoi naprzeciwko pałacu, w którym w r. z. przebywali Ich Cesarskie Moście Najjaśniejsi Państwo. To, że niektóre dzienniki zamieściły wizerunki pomnika, nic dziwnego, gdyż imię jego związane jest ze sławą dawnego Państwa Polskiego — nic też niema w tem niepokojącego. Lecz możeby ta gazeta chciała, aby polskie dzienniki zamieściły pomnik hr. Murawjewa? Że dzienniki polskie dały krótkie telegramy i dopiero nazajutrz, to drobiazg. Nie powinniśmy natrząsać się nad Polakami i wołać „Vae victis!“, bo czasy te dawno minęły, kiedy podobne wołania się rozlegały. „Gdybyśmy doczekali się kiedykolwiek żądanych hymnów pochwalnych, to czyż uwierzylibyśmy w ich szczerość? Oczywiście nie. Więc w takim razie na cóż nam te kłamliwe zachwyty? Chyba tylko na to, aby zyskać jeszcze jedną sposobność znęcania się nad Polakiem i wytykając go palcem, dogadywać z ironią: „Patrzcie, jaki ten Polak podstępny! oto do czego doszedł: Murawiewowi śpiewa dytyramby. Ach, panowie Polacy, kiedyż przestaniecie nas oszukiwać!“ Wszak do takiego wniosku doszedłby niewątpliwie krańcowy nasz politykoman, obracający się wiecznie w zaczarowanem kole sprzeczności i teraz docierający już do tej granicy, po za którą zaprzestano już liczyć się z potrzebą odróżniania światła od mroku, kłamstwa od prawdy! Korespondent warszawski pewnej gazety—wymieniać jej nie potrzeba — rzuca się na *Warsz. Dniewnik* za to, że pozostawił demonstracyę prasy polskiej „bez odpowiedzi i przeciwwagi.“ Każdy zrozumie odrazu, że pod słowem „przeciwwaga“ ukrywa się ni mniej ni więcej, tylko „wołanie stójkowego.“ Ale na chlubę półurzędowego organu warszawskiego trzeba powiedzieć, że w danym wypadku nie skorzystał ze służącego każdemu obywatelowi prawa „wołania i donoszenia“ i że prawo to odstąpił uprzejmie chętnym. Korespondencya dowodzi, że nie brakłoby kandydatów! Co do zarzutu, że *Warsz. Dniewn.* nie rozwodzi się zbyt szeroko nad uroczystościami wileńskiemi, lecz poprzestał na ogłoszeniu adresu Rosyan warszawskich i na depeszach agencyjnych, polemika z autorem jest dość trudna, widocznie bowiem dla umysłu jego niedostępna jest zupełnie mądra sentencya, że leżącego nie godzi się bić, a tem bardziej dobijać.“

KRONIKA.

Mickiewiczowi. *Birż. Wiedomosti* poświęcły numer wielkiemu poecie. Na czele znajdujemy artykuł: „Święto ducha,“ następnie przekład Kremlewa „Ody do młodości,“ dalej artykuły: „Mickiewicz i Puszkin,“ J. Jasińskiego, wiersz Puszkina p. t. „Mickiewicz,“ artykuł Izmaiłowa p. t. „Adam Mickiewicz, szkic biograficzny.“ Prócz tego umieszczono portret z czasów późniejszych. Z innych pism *Peterb. Wied.*, *Nowosti* i *Nowoje Wremia* zamieściły artykuły biograficzno-krytyczne. *Syn Otieczestwa* w odcinku zamieścił obszerny życiorys Mickiewicza Artykuł redakcyjny naszemu wieszczowi poświęcił także organ ministeryum skarbu, *Torg.-promyszl. Gazeta*. *Ruskij Trud* dał artykuł p. t. „Mickiewicz i Sienkiewicz.“ *Rusk. Wied.*, pismo wychodzące w Moskwie, zamieściło w odcinku życiorys i charakterystykę Mickiewicza.

— *Torg. Promyszl. Gazeta* pisze: „W Petersburgu polskie kółko muzyczne dnia 19 grudnia r. b. urządziło w sali Kononowa wieczór Mickiewiczowski, z powodu setnej rocznicy urodzin poety. Na program złożyły się utwory muzyczne, napisane do słów Mickiewicza, oraz wyjątki z utworów poetyckich. Prócz tego urządzono szereg żywych obrazów z „Konrada Walenroda,“ „Pana Tadeusza“ itd. Bardzo piękną była apoteoza: obok biustu poety przechodziły wybitniejsze postacie z jego dzieł i składały wieńce laurowe u stóp pomnika wielkiego ich twórcy. W wykonaniu programu wzięli udział: w części wokalnej — p. Mira Heller, w deklamacyjnej — p. Gabryela Morske; kilka numerów wykonał wiolonczelista, p. Aleksander Wierzbiłłowicz.

Wiadomości społeczne. Dzienniki petersburskie donoszą, że poruszono obecnie sprawę ubezpieczenia wszystkich miejskich członków straży ogniowych od wypadków, jakie pociąga za sobą rodzaj ich zajęcia.

— Przy uniwersytecie kijowskim powstało Towarzystwo psychiatryczne z szerokim programem. Członkami mogą być także nie-lekarze.

— Z inicyatywy inżeniera, p. A. Pawłowskiego, w Witebsku powstał „klub kolejarzy,“ ogniskujący życie towarzyskie urzędników kolejowych, którzy dotychczas musieli szukać rozrywki po pracy w lichych traktyerniach, otaczających dworzec. Pierwszy wieczór familijny zgromadził około 150 osób. (*Kuryer Warsz.*).

— W Wilnie zawiązała się straż ogniowa ochotnicza.

Prasa. Od 1 stycznia w Łodzi zaczuie wychodzić miesięcznik, poświęcony sprawom medycyny i hygieny. Redaktor dr. Seweryn Sterling.

— Pp. Wacław Sikorski i Rajmund Stodólski zaczną wydawać w Warszawie tygodnik p. t. *Wodnictwo rolne*, poświęcony sprawom hodowli ryb, melioracyom rolnym itd.

Konkurs. Tow. pedagogiczne we Lwowie ogłosiło konkurs na powieść dla młodzieży. Pierwsza nagroda 400 koron, druga 200 koron. Termin nadsyłania prac: 1 kwietnia 1899 pod adresem zarządu Towarzystwa, ul. Ossolińskich nr. 11.

Szkoły. Ministeryum oświaty wyjednywa w Radzie państwa kredyt warunkowy w sumie pół miliona na powiększenie funduszów oświaty ludowej.

— Na urządzenie w r. 1899 niższych szkół rzemieślniczych i terminatorskich przeznaczono 30,000 rubli.

— Ministeryum oświaty postanowiło założyć w Porcie Artura i Taljenwanie szkoły parafialne.

Poczta. Od 13 stycznia r. b. na pocztach tutejszych wprowadzone będą pewne udogodnienia, zastosowane do wysyłek książek na wszystkie strony świata. Dotychczas od wszystkich transportów tego rodzaju, z powodu ciągłej zmiany kursu waluty, na pocztach opłata za przewóz pobieraną jest tylko do granicy, resztę zaś należności opłacał odbiorca, bo nie była zawarta konwencya międzynarodowa. Obecnie nowe przepisy pocztowe umożliwią wysyłkę książek w wadze 12 ft. (5 kilo) za opłatą taksy stałej w kwocie kop. 70, z doliczeniem na miejscu, ceny przestrzeniowej, w taki sam sposób, jak się pobiera opłata strefowa za jazdę kolejami. Do Austryi i Niemiec opłata powyższa stosowaną już jest od 13 października r. b., do innych zaś państw wszystkich części świata od 13 stycznia. Według zapewnienia *Słowa*, koszty przesyłki będą o 30% mniejsze, niż dotychczas.

Koleje i komunikacye. Od Nowego roku otwarty będzie ruch prawidłowy na kolei Samarkandzko-Andyżawskiej.

— Spółka fabrykantów łódzkich z p. Juljanem Kunitzerem na czele, otrzymała pozwolenie na budowę kolei elektrycznej z Łodzi do Pabjanic i z Łodzi do Zgierza.

— Od Nowego roku wprowadzona będzie, za przykładem Niemców, numeracya miejsc w wagonach pomiędzy Petersburgiem a Moskwą, Warszawą a Wierzbołowem oraz w komunikacyi pomiędzy Moskwą a Sewastopolem. Miejsca te będą zachowane dla podróżujących w następujących pociągach: na kolei Mikołajewskiej w pociągach kuryerskich i pośpiesznych; na Warszawsko-Petersburskiej między Petersburgiem a Wierzbołowem w pociągach pośpiesznych nr. 9 i 10; na przestrzeni Petersburg—Warszawa w pociągach pośpiesznych nr. 11 i 12. wreszcie na linii Moskwa — Sewastopol w pociągach pocztowych nr. 3 i 4. Ma być pobierana opłata dodatkowa rb. 1 kop. 50 za tę część drogi, na której podróżny korzystał z miejsca numerowanego.

Wystawy i zjazdy. Otwarto w Petersburgu pierwszy zjazd wszechpaństwowy klimatologów, hydrologów i balneologów.

Przemysł i handel. Szlachta gub. Wileńskiej, jak donosi *Swiet*, zwróciła się do miejscowego gubernatora z prośbą o wyjednanie pozwolenia na otwarcie w Wilnie Towarzystwa rolniczego.

— Kopalnie węgla w zagłębiu dąbrowskiem — jak zapewnia *Przegląd Techniczny* — odczuwają od pewnego czasu wielki brak robotników, co działa bardzo ujemnie na produkcyę węgla. Wpłynęły na to: rozwój przemysłu fabrycznego w zagłębiu dąbrowskiem i szybki wzrost zapotrzebowania siły roboczej, wreszcie ciepła pogoda i prowadzenie wskutek tego robót budowlanych i ziemnych. Kopalnie wydatkują znaczne sumy na wysyłanie agentów i sprowadzanie robotników z dalszych okolic kraju, lecz niewiele to pomaga, gdyż sprowadzeni bardzo niechętnie przyjmują robotę w kopalniach pod ziemią. Robotnik z dalszej okolicy, który nie widział kopalni, znalazłszy się w zagłębiu dąbrowskiem, przedewszystkiem szuka pracy przy robotach ziemnych i budowlanych, następnie w zakładach przemysłowych (fabrycznych i hutniczych) w ostateczności przyjmuje robotę w kopalni na powierzchni (przy ładowaniu węgla do wagonów itd.) i dopiero po pewnym czasie odważa się przyjąć robotę w ko-

palni pod ziemią. Spodziewać się jednak należy, że z nastaniem chłodniejszej pory przypływ robotników do kopalń powiększy się i te będą mogły doprowadzić produkcyę i wysyłkę węgla do potrzebnej wysokości.

Zmarli. Eugeniusz Pankiewicz, b. profesor Instytutu muzycznego w Warszawie i kompozytor.

Od Redakcyi.

Ażeby uprzystępnić nowym abonentom nabycie naszych wydawnictw i dodatków, zniżamy ich cenę o połowę dla wszystkich, którzy zaprenumerują PRAWDĘ bezpośrednio w naszej Administracyi. Mianowicie:

J. Brandes: *Główne prądy literatury europejskiej XIX w.* 4 tomy rb. 3 (zamiast 6).

L. Liard: *Logika* k. 50 (zam. rb. 1).

A. Espinas: *Społeczeństwa zwierzęce* rb. 1 k. 50 (zamiast rb. 3).

L. Morgan: *Społeczeństwo pierwotne* rb. 1 k. 50 (zamiast rb. 3).

Huxley—Rosenthal: *Zasady fizyologii* rb. 1 (zamiast rb. 2).

J. Barni: *Męczennicy myśli* k. 50 (zamiast rb. 1).

N. Hirszband: *Byron w urywkach* k. 25 (zamiast k. 50)

K. Lewald: *Historya XIX w.* rb. 1 k. 60 (zamiast rb. 3 k. 30).

L. Wolberg: *Psychologia dziecka* rb. 1 (zamiast rb. 2).

Ekonomia polityczna rb. 1 k. 50 (zamiast rb. 3).

H. Posnet: *Literatura porównawcza* rb. 1 (zamiast rb. 2).

R. Falkenberg: *Historya filozofii najnowszej* rb. 1 k. 20 (zamiast rb. 2 k. 40)

J. Dallemagne: *Człowiek zwyrodniały* rb. 1 (zamiast rb. 2).

M. Mignet: *Historya Rewolucyi francuskiej* rb. 1 (zamiast rb. 2).

Encyklopedya dla dzieci (ilustrowana) kop. 75 (zamiast rb. 1 kop. 50).

Nowoprzybyli abonenci *Prawdy* mogą nabyć początkowe arkusze dzieła, drukowanego w dodatku, *Syberya i ciężkie roboty* Maksimowa, za 50 kop., bez przesyłki.

Na przesyłkę pocztową dołączyć trzeba kop. 15 do każdego rubla. Ceny te obowiązują nas tylko do 1 lutego roku przyszłego.

— **Do dzisiejszego numeru dołączamy końcowo arkusze tomu I-go dzieła Maksimowa: Syberya i ciężkie roboty.**

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 18 Декабря 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.